(Registered for transmission abroad.)

DEMOKRATA POLSKI.

Demokrata Polski wychodzi co dwa tygodnie.—Opłata na Dziewięć półarkuszy: w Anglii szyl. 3, we Francyi fr. 3 ecnt. 75, w Polsce złp. 6.—Cena pojedynczego num. 4 d. czyli 42 cent.—Prenumerować można: w Księgarni Trübner & Co. Paternoster Row. E. C. London.

Dnia 10go Stycznia 1860.

Wszystkie listy, pisma, dzienniki, pieniądze, mandaty, i. t. d., przeznaczone do *Demokraty*, równie jak do Centralizacyi, mają być przesyłane pod adresem: *Mr Anthony Zabicki*, 2, *Thanet Street, Burton Crescent, London. W. C.*

KILKA SŁÓW

O STRONNICTWACH I PROPAGANDZIE.

Od czasu niejakiego słyszeć się daje dość skrzętnie rozsiewane twierdzenie: "Stronnictwa niepotrzebne! Propaganda skończona! I w kraju i w emigracyi wszyscy wiedzą już doskonale, co robić i jak robić!..." Owoż, gdyby tak było istotnie, to my najszczérzéj ucieszylibyśmy się temu najpiérwsi; lecz na nieszczęście, wiele rzeczy, o których wiemy dobrze, nie dozwalają nam téj pociechy jeszcze.

A najprzód co do stronnictw. Nie raz już w piśmie naszém rozbieraliśmy to zadanie: Czy stronnictwa mają swoje usprawiedliwienie? A zdanie nasze zawsze było, że jeżeli Polska wyzwolona błogosławić będzie za co Emigracyą, to przedewszystkiém za to, iż przez swoje stronnictwa wyręczyła ją w tém na polu pismienném, co w kraju, na innéin polu, krwią może musiałoby się rozstrzygnąć. Nie wszyscy to jednak, widać, rozumieją tak z nami, skoro od czasu do czasu podnoszą się wołania, z krajn nawet, o zwinięcie stronnictw emigracyjnych. Jakoż Emigracya szła zawsze za tym głosem, ile razy jéj pismienne spory zastąpić miały lub zastąpić były powinny krwawe rozprawy z wrogiem. Zgoda w tém z krajem może tak być dzisiaj jak bywała dawniéj; lecz na co zgody nigdy być nie może, to na tę nieloiczność, że kraj o tę zgodę do Emigracyi wołając, sam ją do niezgody podmawia. Bo i jakże inaczéj wytłómaczyć się dadzą te od czasu do czasu krajowych literatów i potentatów słaniania się po salonach hotelu Lambert, jeżeli nie podtrzymywaniem i zachęcaniem do istnienia stronnictwa, a raczéj koteryi w całém tego słowa znaczeniu, bo bez żadnéj zasługi i prawa do istnienia. Żaden z Czartoryskich, umarłych i żyjących, niczém takiém nie zasłużył się Polsce, żeby koło któregokolwiek z nich, i około ich wszystkich razem, jakiekolwiek stronnictwo narodowe nawijać się mogło. Ani popularność feldmarszałka austryackiego, ani zasługi ministra moskiewskiego, ani rozum i poświęcenie się synów tegoż do usprawiedliwienia podobnych pretensyi nie wystarczają. To była i będzie zawsze koterya tylko, mająca na widoku wyniesienie się familijne, a czyżto godne przyznania ludzi chcących uchodzić za mających na celu: prawo i dobro narodowe? Zły przykład jednych wywołuje naśladownictwo drugich. Toż kiedy jedni, którym się to podoba i uda, płaszcząc się Czartoryskim, podpierają i utrzymują ich stronnictwo książęce, tedy znów drudzy, kręcą się około innych imion, tworząc stronnictwa jeneralów, dyktatorów, jezuitów, proroków, mistrzów, jak to było z jenerałami Rybińskim i Skrzyneckim, z Tyszkiewiczem, Mickiewiczem, Towiańskim i z wielu innymi jeszcze. Gdybyż te wybryki, będące dowodem surowości i niedoświadczenia politycznego, należały już do przeszłości, byłaby to tylko skaza na kartaoh dziejów narodowego męczeństwa; ale na nieszczęście, ta choroba nawijania stronnictw około imion zdaje się zagrażać dziedzicznością, schodząc z ojców na synów;—bo i jakże wytłómaczyć znowu te w ostatnich czasach zabiegi w wyszukiwaniu nowych jakichś Kościuszków, te ich na gwałt portretowania, owacye, biesiady, rozdawania pałaszów honorowych i tym podobne pochlebstwa? Jednoż z dwojga: albo to jest poczucie potrzeby stronnictw, a wtenczas zgoda z nami, z tą różnicą tylko, że nie około imion, lecz około myśli nawijać je należy, albo jest to po staremu skutek surowości i niedoświadczenia politycznego, z których raz wyjść trzeba nareszcie. Czyż dla tego: że Kościuszko bił wrogów pod Racławicami, że Poniatowski był marszałkiem francuzkim, że Dwernicki brał armaty pod Stoczkiem, że Skrzyneckiemu udały się Iganie, a Mickiewiczowi Dziady, to już każdy z nich i każdy z podobnych im ma prawo być na swoję rękę reprezentantem sprawy narodowéj i gromadzić około siebie narodowe stronnictwo?... Nie! Nigdy! Jedna tylko jest Polska, i jedna myśl tylko wskrzesić Polskę może, a tą jest: jedno prawo dla całego Ludu Polskiego,—i około téj myśli tylko nawijające się stronnictwo, ma jako takie prawo istnienia, aż dopóki wszelkich innych stronnictw z gruntu narodowego nie uprzątnie. A teraz co do propagandy.

"Propagandy już nie potrzeba!" mówią przeciwnicy nasi. Otoż jeźli dla kogo, to dla nich właśnie potrzeba jéj koniecznie. Potrzeba jéj dla nich, jeżeli są arystokratami, jezuitami, mistykami, pretoryanami, egoistami lub zobojętnionymi Polakami, ażeby takimi raz być zaprzestali; potrzeba jéj dla nich koniecznie, jeżeli są demokratami, jeżeli istotnie mają na celu niepodległość Ojczyzny: Równość, Wolność i Braterstwo Ludu Polskiego, ażeby ci, których cele są ich celom przeciwne, nie mieli środków i sposobu brojenia. Są wszakże inne jeszcze względy za potrzebą propagandy ciągłéj przemawiające. Jakoż, gdyby istotnie pokolenie schodzące, które powinność swoję spełnić mogło lub przynajmniéj spełnić ją miało sposobność, nic już do nauczenia się nie miało, godziż się przeto twierdzić, że pokolenie nowe o niczém wiedzieć i niczego uczyć się nie ma potrzeby? Przez porównanie, byłoby to nakształt twierdzenia, że ponieważ ojcowie się uczyli, więc synowie uczyć się nie powinni. Otóż, według nas, pokolenie nie tylko dojrzewające i na scenę polityczną wchodzące, ale nawet dojrzałe i schodzące, ma z każdym dniem do nauczenia się wiele; bo jak wszelka nauka i umiejętność, tak podobnież pojęcia i wyobrażenia społeczne z każdym dniem postępują,—a komuż nie wiadomo, przytém, że zaniedbanie się w nauce wytrąca z głowy to nawet, co się kiedyś umiało. Nie jeden z jenerałów, po latach kilkunastu lub kilku, zapomniał szkoły plutonu; nie jeden z synów, ćwiczony w szkole obcéj, moskiewskiéj lub niemieckiéj, kilku wierzy czystą polszczyzną skleić nie podoła, chociaż ojciec jego doskonale myślał, mówił i pisał po polsku. Wszak Emigracya polska nie szła w świat także bez myśli, a coby się było stało z tą myślą, gdyby nie byli tacy, którzy na jéj straży niezmordowanie dotrwali?...—"Propagandy nie trzeba?" A czyż było jéj dosyć, kiedy tylu, o których już się zdało że nawskróś świadomością obowiązków swoich przejęci, oni po to tylko na ziemi polskiéj stanęli, ażeby tam błędy wyrzucane swym poprzednikom powtórzyć?..—"Propagandy nie trzeba!" A czyż nie ma pomiędzy nami takich, dla których przylgnięcie do myśli nowéj było tylko środkiem do stopni i tytułów, i którzy odtąd nie przestają prawić i rozpisywać, iż od chwili, kiedy oni swego dopięli, myśl nowa pogrzebaną została?..—"Propagandy już nie potrzeba", prawią inni nareszcie, dla których słowo jest wiatrem, podpis żartem przeznaczonym do odwołania jutro za nędznych parę srebrników,—którzy dla tego tylko przez ćwierć wieku odgrywali rolę synów wiernych ojczyznie, ażeby na piérwszą wieść o amnestyi carskiéj wyżebrać sobie litość swoich a pogardę i naigrawanie się u obcych?...

Toż nie mówcie, o Bracia! ani wy w pielgrzymskiéj powinności wytrwali, ani wy z kraju wpośród nas z dobrą myślą przybywający, ani wy na ziemi ojczystéj około wyzwolenia jéj pracujący, że stronnictw i propagandy nie trzeba,—tylko wszyscy pospołu w to waszą usilność wlejcie, ażeby na tułactwie i w Kraju, jedno tylko było stronnictwo i jednéj propaganda myśli, a tą jest: przez Równość, Wolność i Braterstwo Ludu Polskiego—Niepodległość całéj Ojczyzny.

KORESPONDENCYA.

Z okolic Paryża, 20 Grudnia 1859.

Stósownie do waszego życzenia, udzielam wam krótką wiadomość o śmierci i życiu Walentego Zwierkowskiego, którąście przyobiecali czytelnikom Demokraty.

Już przeszło od roku zapadał ciężko na zdrowiu zacny ten patryota, i lubo, przy jego podeszłym wieku, nie można mu było wróżyć bardzo długiego życia, nikt się jednak nie spodziewał tak rychłéj jego śmierci. Umarł on, jak o tém namieniliście, dnia 14 b. m. o god. 2 po południu. D. 16, około południa, zwłoki jego licznie zebrani rodacy odprowadzili do pobliskiego kościoła *St. Germain des Prés* (niegdyś opactwa tego nazwiska), a ztamtąd, po odbytéj mszy żałobnéj, przy ołtarzu obok grobu naszego króla Jana Kazimierza, na cmentarz *Montmartre*, do jednego z grobowców polskich. W orszaku pogrzebowym, w którym wszystkie odcienia polityczne miały swoich reprezentantów, znajdowała się także deputacya uczniów Szkoły Polskiéj na *Batignolles*, z kilku nauczycielami i całą Radą szkolną. Nad grobem przemówił poseł Jan Ledóchowski, kreśląc w pięknych i rzewnych wyrazach długoletnie zasługi oraz nieskazitelny charakter nieboszczyka. Mówił także i Stanisław Poniński, przed r. 1830 uczeń Szkoły Podchorążych i naoczny świadek udziału, jaki miał nieboszczyk w związkach patryotycznych z owéj epoki.

Tyle co do śmierci i pogrzebu. Co do samego życia Walentego Zwierkowskiego, tego także mogę tu tylko słaby rys podać; lecz czego ja należycie dopełnić téj chwili nie mogę, dopełnią zapewne inni, i uczczą pamięć męża, który przez 50 lat z górą służył statecznie ojczyznie: orężem za Księstwa Warszawskiego, radą w kole sejmowém lub w spiskach patryotycznych za Królestwa Kongresowego, i znowu radą lub piórem na wygnaniu, od r. 1831.

Oto rys jego życia.

Urodził się Walenty Zwierkowski w r. 1788, we wsi Molnyszu, pod Częstochową, z ojca Ignacego Zwierkowskiego i Maryanny Kałuskiéj. Nienawiść do naszych wrogów odziedziczył po ojcu, który, za konfederacyi Barskiéj, był adjutantem Kazimierza Puławskiego. Ukończywszy nauki w szkołach pijarskich w Piotrkowie, wysłany został do uniwersytetu w Halli; lecz wkrótce, w r. 1806, jak tylko Polakom nadzieja zabłysła, i w powstającém Księstwie Warszawskiém zaczęto formować *wojsko polskie*, zaciągnął się do pułku Krakusów. Krzyż *virtuti militari* i zaszczytna wzmianka w rozkazie dziennym jenerała Zajączka były niedługo nagrodą jego waleczności. Następnie przeszedł do pułku ułanów gwardyi Napoleona, i w tym pułku odbył kampanie hiszpańską i austryacką. Osłabiony atoli trudami wojennémi i okryty ranami musiał wrócić do ojczyzny i spokojniejszemu oddać się życiu. Odtąd rozpoczął zawód obywatelski, w którym odznaczając się zawsze prawością, poświęceniem i zdolnością, umiał sobie jednać zaufanie współziemian; jakoż bywał wybierany radzcą obywatelskim w swojém województwie, marszałkiem sejmiku powiatowego, sędzią pokoju i posłem na sejm. W sejmie należał do tak zwanéj "partyi Kaliskiej", która była jądrem opozycyi legalnéj. Kiedy naczelnikowi téj opozycyi, Wincentemu Niemojowskiemu, wzbroniony był przez W. Ks. Konstantego przyjazd na sejm do Warszawy w r. 1825, Walenty Zwierkowski, wraz z dwoma swymi kolegami: Józefem Komorowskim i Józefem Szepietowskim, zaniósł protestacyą do sejmu przeciw krzyczącéj swawoli carewicza. Protestował równie przeciw *dodatkowemu* do konstytucyi artykułowi (z d. 13 Lutego 1825 r.), znoszącemu jawność obrad sejmowych, i kiedy Mikołaj, w r. 1829, zjechał na koronacyą do Warszawy, Zwierkowski sam jeden domagał się odwołania rzeczonego artykułu. Na tak śmiały krok trzeba było, zaiste, mieć w sobie wiele odwagi cywilnéj. Zwierkowski wielką odwagę cywilną okazał jeszcze drugi raz, kiedy w r. 1830, po zapadłéj na sejmie uchwale względem wystawienia pomnika Aleksandrowi, nie tylko sam nie chciał dać składki i pójśdź na dawany (u prezesa senatu niecnéj pamięci Stan. Zamojskiego) bal z tego powodu, ale i innych członków sejmu głośno od tego odwodził. Nie zamykał atoli Zwierkowski swych patryotycznych działań w ciasném kole opozycyi legalno-sejmowéj, zkąd hasło do zrzucenia jarzma nigdy wyjść nie mogło; lecz działał poza sejmem: naprzód, w spisku koronacyjnym, a gdy ten z winy trzech *hrabiów* (Zob. Mochnackiego *Powstanie Nar. Pol.*) udaremnionym został, w spisku Szkoły Podchorążych. Dla tego to przed samą rewolucyą objeżdżał różne części kraju, aby do ogólnego ruchu przygotowywać umysły. Po rewolucyi zasiadał w sejmie jako deputowany VII cyrkułu M. S. Warszawy; był naprzód prezydującym przygotowawczego zebrania, daléj członkiem delegacyi wyznaczonéj w połowie Grudnia do wyrozumienia Chłopickiego, i byłby miesiącem wcześniéj wykrył przed narodem zgubne zamiary dyktatora, gdyby go był od tego *zaklęciami* swémi Czartoryski nie wstrzymał. Następnie zasiadał w różnych komisyach sejmowych, używany był do różnych misyi i sprawował często obowiązki sekretarza izby poselskiéj. Lecz jak wprzód, tak w czasie rewolucyi działał i po za sejmem: był jednym z wice-prezesów *Towarzystwa Patryotycznego* i prezesem *Towarzystwa polepszenia stanu włościan*. To ostatnie towarzystwo miało właściwie na celu *uwłaszczenie* ludu wiejskiego; Zwierkowski téż usamowolnił i własnością gruntową obdarzył swoich *poddanych*, w czém go nie wielu z jego kolegów sejmowych naśladowało. Prócz tego był majorem dowódzcą konnéj gwardyi narodowéj Warszawskiéj, a przy samym końcu, w tym samym stopniu, dowódzcą 2go pułku Krakusów. W Emigracyi był naprzód członkiem Komitetu Narodowego pod przewodnictwem Lelewela; następnie krzątał się gorliwie około skojarzenia całéj Emigracyi w jedno ciało polityczne; ale gdy to usiłowanie nie wzięło skutku, i w r. 1846 rozwiązał się "Komitet Zjednoczenia", którego on był członkiem, wszedł do Towarzystwa Dem. Pol. i pozostał wierny do końca jego zasadom. Od roku tylko, przestał być, jak dobrze wiecie, czynnym członkiem Towarzystwa z przyczyn wyżéj wzmiankowanych. Cześć jego pamięci, teraz i na późne czasy!.. (J. N. Janowski)

26 Grudnia.

W korespondencyi mojéj z d. 5 b. m. zdając sprawę o obchodzie 29go na Batignolles, powiedziałem, że Leon Kapliński musiał, na żądanie zgromadzenia, powtórzyć jeden ustęp ze swego *Wiersza do Wieszcza Psalmów*, który deklamował na rzeczonym obchodzie, i który się ogólnie podobał. Widzę potrzebę przytoczyć tu ten ustęp i zrobić parę uwag z powodu, że nie dzielę tak wygórowanego uwielbienia ani dla autora *Psalmów Przyszłości* (Zygmunta Krasińskiego), ani ogólnie dla naszych wieszczów, tak zwanych *mistrzów słowa*.

Zygmunt Krasiński, w piątym i ostatnim psalmie (*Psalm Dobréj Woli*), odzywając się do Boga, rozpoczyna każdy ustęp témi słowy:

"Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie..."

Kapliński, odzywając się do Krasińskiego, w podobny sposób rozpoczyna każdy ustep swego wiersza, i tak między innémi mówi:

"Wszystko, ach! dałeś, co miłość dać może.
"Téj szlachcie polskiéj, w któréj czciłeś braci!
"Przekląteś na nich wyciągnięte noże;
"Najczystsześ z dziejów zwoływał postaci:

. . . .

"Uczyłeś, jak się winy skruchą mażą;
"W dłonie im życia wsuwałeś pochodnie;
"Chciałeś, by znowu przed narodem godnie
"Hufcem wybranym byli, przednią strażą;
"Lecz, patrz, dziś wielu gasi te gromnice,
"Jakie Twa wielka rozpalała wiara;
"I w starą niegdyś Zygmuntów stolicę
"Biegnie przyjmować północnego cara;
"A kilku skoczków i polskie dziewice,
"Co się wyzuły z wstydu na tę chwilę,
"Nędzne odgrywa przed nim krotofile:
"Gdy inni milczą z uśmiechem weseli,
"I tak spokojnie jakby nie wiedzieli,
"Że gdzie godności swéj naród nie trzyma,
"Cierpienie samo już świętości nie ma.

. . . .

"Zanim zapozwiesz przed oblicze Boże;
"Tych, co już Polski zaprzeć się gotowi,
"W snach upominaj, stawaj w wezgłowi:
"Może się zlękną, i zawstydzą może,
"Widząc, że mimo imie i ród świetny
"Tyś między nimi był jeden *Szlachetny!*

W tym wierszu:

"Lecz, patrz, ..."

i dziesięciu następnych sprawiedliwie, zapewne, i pięknie wyraził Kapliński uczucie pogardy dla tych Polaków i Polek, co niedawno

robili z siebie pośmiewisko przed carem w Warszawie. Ale zkądże mu to wesoła myśl przyszła do takiéj apologii czy apoteozy Zygmunta Krasińskiego, który przecież bywał także na wieczorkach u cara Mikołaja, i lubo napisał: "zgińcie, me pieśni; wstańcie, czyny moje!" nigdy się nie zdobył na żaden czyn patryotyczny?—Po wyjściu z druku *Wiersza* Kaplińskiego i odczytaniu go, odczytałem naumyślnie *Psalmy Przyszłości*, i nie znalazłem w nich żadnéj z tych wielkich prawd, któreby dla szlachty polskiéj mogły być "pochodniami życia."—"Pochodnie życia" dla szlachty znajduję nie w *Psalmach* Z. Krasińskiego ale w *Stefanie Czarneckim* (Pieśń X, str. 422) Kajetana Koźmiana. Jakkolwiek K. Koźmian był równie biernym patryotą jak i Z. Krasiński, jakkolwiek nie przyświecił także narodowi żadnym czynem patryotycznym, daje jednak szlachcie jedynie mądre przestrogi i rady, odzywając się do niéj w te słowa:

"Dałaś sławie pomniki, dałaś dziejom wątek;
"Lecz w dumie zapomniałaś, skąd wzięłaś początek!
"Sama wolna, lud jarzmem gniotłaś niewolniczém;
"Chciałaś być wszystkiém w kraju, i dziś jesteś niczém.
"Wciel się w lud, on twą przyszłość uzna swą ozdobą,
"A gdy ludem zostaniesz, lud się stanie tobą."

Zdaje mi się, że czytelnicy Demokraty będą mego zdania, i nie podzielą uniesień Kaplińskisgo dla autora *Psalmów*, którego pojęcia religijne, polityczne i społeczne nie są zgodne z duchem XIX wieku. Niech jednak ztąd nikt nie wnosi, abym chciał jak Platon ze swojéj rzeczypospolitéj wypędzać z przyszłéj Polski poetów; nie, broń Boże! jabym tylko chciał, aby ich zaprzestano uważać za świeczniki i kierowników narodu. Poeci w polityce na nic się zdali. Gdzież, pytam się, poeta Lamartine zaprowadził Francuzów w 1848? A Emigracya Polska nie byłażby zjezuiciała lub ugrzęzła w mistycyzmie Towiańskiego, gdyby była szła za Mickiewiczem? Te dwa przykłady dostatecznie wspierają moje zdanie, a możnaby wiele innych przytoczyć. (J. N. Janowski)

Kurs publiczny Literatury Polskiéj w Paryżu, wykładany 1858 i 1859 r. w Sali Towarzystwa Uczonych (Quai Malaquais, 3.) przez Leona Zienkowicza, Członka Towarzystwa.

(*Dalszy ciąg.*) Zakres pisma naszego nie dozwala przedstawić w niém, słowami Ob. Zienkowicza, rozwoju jego dziejów Sławiańszczyzny przedchrześciańskiéj. Pobieżnie wspomnieć tylko możemy, że według niego piérwotne dzieje sławiańskie w ogólności, a polskie w szczogólności, tak dalece są inaczéj rozumiane i oceniane dzisiaj, iż te nasze kopce Krakusa i Wandy, pod Krakowem, długo za wyłącznie polskie albo lechickie uważane, były na cześć tychże samych bohatérów sypane, których pamięć do dzisiaj czci u siebie Sławiańszczyzna nad Elbą i na brzegach Adryatyku. Ob. Zienkowicz sądzi, że w środku, jak gdyby w sercu tego niezmiernego obszaru sławiańskiego, osiadli byli *Polanie* czyli Polacy, i *Lesianie* czyli Lesi, tak zwani od pól i lasów, które zamieszkiwali, a których ziemia przeto raz: *Polonią* czyli Polską, a drugi raz *Lesią*, czyli pisząc to z cudzoziemska: Lechią się zwała.

Przechodząc Ob. Zienkowicz do tych już czasów, kiedy Polska na widowni literackiéj świetnieć zaczyna: Naród Polski, powiada, z narodem Lechickim, tak jak późniéj z Litwą i Rusią, w jedno ciało złączony, wszystko co sam tworzył u siebie, tworzyć musiał z przyrodą swoją zgodnie. Jak więc rodzime, czyli własne jego, były piérwiastkowe jego ustawy społeczeńskie, tak podobnież literatura, bez któréj w czasach przedpismiennych nawet ostać się nie mógł, bo literatura nie w samém tylko jest pismie, jest ona także w myśli i uczuciu, w głowie i sercu, w mowie, spiewie, muzyce, sztukach, przemyśle, obyczajach, zwyczajach, słowem: w całém umysłowém i zmysłowém jestestwie narodowém. Wszakże one czasy piérwotne, jako przekazane ustném tylko podaniem, nie wchodzą w zakres literatury pismiennéj; wszystko nią objęte jest dopiéro z tych czasów, kiedy w łonie Polski grały już dwa żywioły: rządzący i rządzony, panujący i opanowany, czyli pański i chłopski. Innego żywioła w dawnéj Polsce nie było, bo rząd wolą szlachty stawiany i od niéj zawisły nie był rzeczywiście ani panującym ani rządzącym. Z téj strony uważana Polska, w szlachcie była narodem, tak że szlachcic polski stał w środku między dwoma zawisłymi czyli poddanymi swoimi, to jest: między rządem ze swego ramienia a swoim niewolnikiem, nad jednym z których panował szlachtowładnie czyli z bracią szlachtą pospołu, a zaś nad drugim samowładnie czyli po królewsku, jak król na wiosce swojéj. Przy takiém urządzeniu społeczeństwa, ani góra ani dół, ani rząd ani naród, nie mogły wpływać stanowczo na kierunek literatury. To sprawiło, że nie było w Polsce ani literatury dwosrkiéj, nie wyłączając nawet, pod innym względem wielce dworskich czasów Stanisława Poniatowskiego, ani literatury narodowéj, mimo przelotnych na téj drodze błysków. Szlachta polska, zagarnąwszy wszystkie prawa jednéj strony i drugiéj, wszystkie w sobie treściła. Były więc ziemie i wody, wsie i miasta, rządy i sądy, zjazdy i zajazdy szlacheckie, i była téż literatura szlachecka, lepsza lub gorsza, według tego, jak w czasie danym, szlachta była lepsza lub gorsza, narodowém lub obcém ożywiona tchnieniem. Czasy nawet najświetniejsze literatury polskiéj: *Wiekiem Złotym* zwane, właśnie w tém nad innémi górują, że wybornie onoczesną szlachtę polską reprezentują. Uważani pod tym względem pisarze polscy, nie tylko z czasów Jagiellońskich, ale z czasów Batorego i Zygmunta Szweda, wcale się nie różnią. Szlachcic Polski, dla Reja, był najdoskonalszém jestestwem na jakie opatrzność zdobyć się mogła. Skarga, kochający Polskę jako ustanowienie Boże, upominający króle i pany odstępujące ojczyzny, nie zdołał zwrócić głosu swojego tam, kędyby głos jego nie był wołającym na puszczy. Najznamienitsi onych czasów poeci: Kochanowscy i Szymonowicz, nie stroili lutni swoich, jedno dla ucha szlacheckiego. Ale co im rzeczwisty zaszczyt przynosi, i zkąd słusznie ich literatura: *Wieku Złotego* nazwę nosić ma prawo, to jest to, iż umieli łączyć swą powinność pisarską z polityczną potrzebą narodu, i że każdy z nich prawie, z każdego wiersza swego, zdaje się wołać z psalmistą: "Jeżeli cię zapomnę "Ojczyzno moja miła i Jeruzalem moje, niech zapomnę prawicy "ręki mojéj; niech język mój przyschnie do podniebienia, jeźli "pomnieć na cię nie będę, a jeźli cię na czele wszystkich spraw "moich nie położę."

Jakož, w następnym wieku, Polska, acz przedłuża zawód swój literacki, nie ma już na nim piętna przeszłości. Panowanie kilku królów cudzoziemców, którzy nie umieli ani mówić po polsku, ani kochać Polski po polsku, uważać można za najpiérwszą i najwalniejszą przyczynę wszystkich następnych nieszczęść narodowych. Rzecby, że z wypędzeniem mowy polskiéj z ust polskich, wymykało się serce polskie z piersi. Wszędzie pozorem usiłowano zastąpić brak wewnętrznéj wartości. Pod wąsem student, jako się wyraża charakterystycznie Lelewel, z infimy gdzie się był gramatyki na pamięć wyuczył, szedł do retoryki, gdzie go tylko w napuszonych frazesach ćwiczono, i do filozofii, gdzie go w zręczném udawaniu fałszu za prawdę wydoskonalono. Każdy wprzód wiedział, że był szlachcicem, aniżeli że miał ojczyznę. Znowuż, najwierniejsze odbicie stanu politycznego narodu w jego literaturze. Rzeczpospolita w nieładzie lub letargu, i w rozstrojeniu albo śpi literatura. Przebudzi się czasem pamięć dawnéj potęgi, zatęskni serce synów do wielkości i sławy ojców, rzuci się umysł do reform, ale młodzież wychowana u Jezuitów nic już rozbierać nie umie. Naród potrzebował zupełnego wyniszczenia złego z korzeniem; Konarski wchodził z niém tylko w układy. Konarski nie wiedział może, iż zakładając szkołę dostępną synom samych tylko bogaczy, zaprowadzał arystokracyą bogactw, według wyobrażeń zachodu, kiedy dotąd szlachta polska, przynajmniéj wpośród siebie, używała równości. Pod wpływem takiéj reformy, nic innego narodzić się nie mogło, nad nowe naśladownictwo. Wszystko było postronne. Literatura wyrażała ducha, który nie był duchem narodu, odbijała się w niéj jakaś myśl, jakaś postać, ale nie narodowa, ale nie polska. Aż strach pomyśleć, coby daléj się stało, gdyby mąż narodowi na wieki pamiętny, Kazimierz Puławski, nie dał był hasła i przykładu innego. Konfederacya Barska zrywając pęta niewoli, rozpoczynała epokę dźwigania się ducha narodowego. Co tylko było szlachetniejszego w narodzie, łączyło się w obozie konfederatów. Tworzył się tym sposobem nowy zastęp, który wprawdzie nie stawił jeszcze przyszłości,

lecz stanowczo zrywał z przeszłością;—i kiedy stary zastęp palił kadzidła wrogom i niedołężnemu królowi, tedy on, z pola bojów, odzywał się pieśnią niepodległości i przeobrażenia narodowego. Literatura konfederacka żyje dotąd w podaniach tylko, albo w rękopisach i pamiętnikach prywatnych. Konfederaci drukować jéj czasu nie mieli. Każdy zresztą konfederat umiał ją na pamięć, a dzieciom swoim przekazywał z pacierzem. Ale wszystkie i odezwy, i kazania, i poezye z tych czasów, tchną duchem nadziei i wiary; we wszystkich, Polska stoi jako ofiara grzechu szlacheckiego; ma skończyć, złożyć zwłoki swoje,—lecz *zmartwychwstanie*.

Czém literatura konfederatów na ziemi ojczystéj, tém literatura legionów była w czasach tułactwa po zupełnym rozbiorze kraju. Pieśn ich bojowa: "*Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!*" otwiera się słowem takiéj nadziei, jaka nie dozwoli zginąć żadnemu narodowi, dopóki pokolenia jego ożywiać będzie. Tworząca się, jak tamta, śród huku armat, walk i marszów ciągłych, nie mogła być obfitą. Kilka pieśni bojowych, kilka notatek obozowych, otóż wszystko co ją składało. W kraju żadnéj prawie literatury nie było, chyba że od czasu do czasu jakiś goretszy patryota przelał kilka westchnień na papier, ostrożnie z ręki do ręki podawanych, lub że jakiś odstępca zakrwawił serce polskie pamfletem na cześć wrogów. Dopiéro ze zwycięzkiémi orłami Napoleona, wraca z legionami literatura na ziemię ojczystą; ale samo owoczesne położenie Polski względem bohatéra Francyi wpędzało jeszcze pisarzy polskich na starodawny tór naśladownictwa. "Przerażający stan! woła Goszczyński. Polacy w gładkich, sentymentalnych wierszach, w cedzonych przez zęby frazesach i komplementach, przesadzali samych Francuzów!" Proza nie mogła się od rymotwórstwa wydzielać. A jednakże, ani jedna ni druga nie wahała się przyznawać sobie stopnia doskonałości najwyższéj, imieniem klasycyzmu ochrzczonéj. Ale na wszystko snać jest czas i miara,—bo własnie kiedy się zdało, że klasycyzm zasypiać mógł na laurach swojego panowania, on zerwał się na nogi i krzyk podniósł przeciwko nowatorstwu. Z całą siłą tragicznego gniewu zagrzmiał piérwszy Osiński, z całą żółcią obrażonego klasycznego areopagu poparł go Dmochowski. Inni już nieco dawniéj spiknęli się, i uderzyli to na pisownię Felińskiego, to w tym podobne nowości. Aż oto wystąpił i człowiek głośnego w ścisłych umiejętnościach znaczenia: Jan Śniadecki! Rozległ się do około okrzyk: Romantyczność! Ukazały się dwie strony. Homerowski z tego powodu zostawił obraz Mochnacki: "Powstał wrzask i zamieszanie boju. Wzmaga się zaciętość; towarzyszy jéj zaślepienie, które często zasłania oczom walczących przedmiot ich walki. Sam widok zuchwalców targających się na wielkie, nietknięte dotąd imiona, sama ich ufność w zwycięztwo, podnosi potęgę jednych, odbiera drugim moralną siłę. Klasycy słabną. Klasycyzm upada. A z bojowiska powstaje Mickiewicz, zapowiada tryumf, i rozpoczyna stanowczo Nową Epokę Literatury, pod imieniem: *Romantyczność!*

Na następném, drugiém z kolei posiedzeniu, Ob. Zienkowicz, rozwijając, jak obczyzna, a mianowicie: Łacina naprzód a Francuszczyzna potém, zaszkodziła czystości naszéj mowy piérwotnéj:—Tak jest, rzekł, Łacina i Francuszczyzna zaszkodziły naszemu językowi; ale nie naszemu sercu, ale nie myśli i duchowi; ale nie przeznaczeniu i posłannictwu naszemu. Łacina zepsuła nam język troche, Francuszczyzna skrzywiła obyczaje troche, ale treść narodowego jestestwa pozostała nietknięta. Snać to nawet zapisaném było w narodowych naszych wyrokach, że niekoniecznie od samych Greków, lub od Wschodu tylko, nam Polakom rozumu uczyć się należało. Od Łaciników to pewnie nauczyliśmy się onych instytucyi, które naród nasz przez długie wieki w świetności i zaszczycie nieznanym innym narodowościom sławiańskim utrzymywały; od Łaciników to pewnie, albo raczéj od Rzymu łacińskiego, nauczyliśmy się téj miłości, która nieszczęśliwych nie ze skały strącać lub na Sybir pędzić, ale się opiekować nimi, ale im sprawiedliwość braterską wymierzyć nakazuje; i ob Zachodu to, albo raczéj od Francuzów, nauczyliśmy się niejednéj pożytecznéj prawdy, z których siewby dziś wprawdzie nie zbieramy jeszcze plonów, ale które, prędzéj czy późniéj, nie my, to będą zbierać pokolenia nasze; albowiem prawdą pewnie jest, co w chwili śmierci wyrzekł Szymon Konarski, iż *Bóg nie sieje napróżno*. Toż więc, jakiekolwiek co do téj łączności naszéj z Zachodem może być czyje zdanie, przyznać musi, iż jéj przedewszystkiém winniśmy, żeśmy tém pozostali, czém dziś jesteśmy,—gwiazdą oświecającą przyszłość Sławiańszczyzny.

Z kolei, aby myśl wykładu nie była dla słuchaczów wątpliwą, rozwijał Ob. Zienkowicz obowiązek krytyki literackiéj wobec politycznéj potrzeby narodowéj, a przechodząc do głównego przedmiotu swojego założenia: Jestto, mówił, zjawisko godne uważania, ta u nas zaciętość klasycyzmu z romantycznością. Gdzie indziéj, walka ta odbyła się cicho, spokojnie, między samymi uczonymi; w Polsce cała ludność czytająca wystąpiła do boju, wzięła udział w walce. Wyraźnież naród polski przeczuwał, iż pod témi oznakami zwierzchniémi leżało w gruncie oburzenie przeciw wszelkiemu wewnętrznemu zepsuciu i zewnętrznéj przemocy, przeciw wszystkim złym nałogom, błędom i uprzedzeniom siłą ucisku wspieranym;—że pod nazwą romantyczności, podejmował wewnętrzne i zewnętrzne wyzwolenie się swoje. Wzniosła była myśl nowatorów i szlachetne ich chęci, ale nie spali jéj nieprzyjaciele, silni długą swych zabiegów robotą. Dosyć jest przywieść do pamięci owoczesny stan publicznego oświecenia w Polsce, żeby pojąć trudności i zawady, z jakiémi nowéj myśli walczyć przychodziło. W królestwie, Szaniawski scholastyk i cenzor był nadzwyczaj czynnym w ociemnianiu młodzieży. Czego sam podjąć i dokonać nie mógł, to brał na siebie Grabowski faryzeusz i bigot, albo Nowosilców ateusz i materyalista. Nie lepiéj było na Litwie i Rusi. Nic narodowego, nic coby Polskę w Wilnie lub Kijowie przypominało. Wychowanie w Galicyi było prawie podobneż, z tą różnicą tylko, że co Moskwa u siebie przeprowadzała nakazem i przemccą, do tego Austrya dochodziła obłudą i chytrością. Prusy stały w środku. Wierne dwulicowéj zawsze polityce swojéj, oba systemata połączyły u siebie. Moskwa uciskała uniwersytety, Austrya urządzała je obskurantycznie, w Polsce więc zagrabionéj przez Prusy nie było żadnego uniwersytetu. A Kraków? Kraków podany na umęczenie w ręce trzech takich opiekunów, znosił potrójne ociemnienia katusze. W takim stanie oświecenia publicznego zastała Polskę idea romantycznością zwana. Biła się więc nieszczęsna, jak o wiosnie łódka, pomiędzy krami rzeki, więzy lodowe zrywającéj, aż porwana i skołatana spaść mogła z jednéj ostateczności w drugą, z materyalizmu do mistycyzmu, coby prawie na jedno wychodziło. Mistyczny Mickiewicza jeniusz przodkował téj szkole i niesłychanym sposobem ciągnął roje naśladowców za sobą. Nie mogłeś nowéj książki otworzyć, żebyś się nie spotkał z trupami, upiorami, martwicami, czarownicami, z diabłami i duchami. Bóg wie, coby znowu się stało; dokądby tą kabalistyką wiedziony umysł polski był zaszedł, gdyby Malczewski, Goszczyński i Zaleski, wszyscy trzej także wielkim poetycznym talentem oznaczeni i jak Mickiewicz staréj szkole przeciwni, nie byli wystąpili. Malczewski w Maryi, Goszczyński w Zamku Kaniowskim, Zaleski w dumkach a szumkach ukraińskich, lecz po polsku pisanych, wszyscy trzej naraz, widomie okazują, że nie w Byronie i Szekspirze, nie w Getym i Szyllerze, nie po Anglii i Niemczech, ani nawet po Krymie, ale we własnéj myśli i własnych narodowych dziejach, pisarze polscy natchnień i przedmiotów szukać dla siebie mają, jeźli istotnie swéj Ojczyznie usłużyć pragną. Odtąd, z każdym dniem zmieniała się wyraźnie postać literatury polskiéj. Dziennikarstwo nawet z powołania i przeznaczenia w najtrudniejszém położeniu będące, usamowolniało się poczęści. Na te czasy przypada także dzieło Mochnackiego: o Literaturze Polskiéj, w którém autor uczenie i mistrzowsko wyprowadzał na jaśnię najgłówniejsze i najżywotniejsze zadania narodowe. Rzewnym i żartkim głosem powoływał on Naród polski do poczucia się i uznania w jestestwie swojém, aby tak rozbudzony, poruszył samodzielność swoję i żyć dla siebie zapragnął. Wszystkie on zaprawdę wołania i zaklęcia swoje odnosił i stósował do literatury, bo pod nożycami cenzury warszawskiéj i drapieżnością belwederskiego tygrysa nie mogło być inaczéj, ale młodzież tak łatwo odgadywała myśl estetyka swego, jak dobrze rozumiała romantyczność poetów swoich, i niewiele potrzebowała już czasu, by za jéj sprawą słowo to stało się ciałem, w pamiętnéj nocy 29 Listopadл. *(D. c. n.)*

Londyn, W Drukarni Towarzystwa Demokratycznego Polskiego.